

Edward Socik

Historia kołem się toczy. Wspomnienia z 90. lat życia



Urodziłem się 13 lipca 1917 r. we wsi Bęczkowice w pow. piotrkowskim. Rodzice (Tomasz i Agnieszka) po przeprowadzce z Częstochowy prowadzili małe dwuhektarowe gospodarstwo rolne. Nasza sytuacja życiowa była wtedy bardzo trudna. Na początku lat 30 - tych na wsi była ogromna nędza. W małych rozdrobnionych gospodarstwach niejednokrotnie brakowało nawet chleba. Do dziś pamiętam jak spowiadałem się księdzu z tego, że ukradłem mamie chleb. W biedniejszych gospodarstwach żywiono się podpłomykami. Mąkę ugniatano z gotowanymi kartoflami formując z tego placki o średnicy około 10 cm. i piekąc je w kuchni. Natomiast w bogatszych gospodarstwach jadano chleb. Aby pozyskać mąkę na chleb najpierw trzeba było wysuszyć na brytfannie ziarna żyta a następnie zmielić je w żarnach. Natomiast do klusek używano mąki pozyskiwanej w podobny sposób z pszenicy.

W Bęczkowicach w latach 1934 - 1935 dość pospolitym i powszechnym daniem obiadowym była zupa tzw. paziocha. Oddzielnie gotowano kapustę i mleko po czym mleko wlewano do kapusty i mieszano. W okresie międzywojennym małe gospodarstwa nawet te do 5 ha były do tego stopnia nierentowne, że chłopci bardzo chętnie zamieniliby je na posadę dozorczy w mieście. W tym czasie przez Bęczkowice przechodziło w poszukiwaniu pracy bardzo dużo biednych osób

tw. dziadów, którzy chodzili od domu do domu prosząc o talerz zupy lub kromkę chleba. Dlatego też ojciec aby utrzymać rodzinę dodatkowo handlował owocami. Polegało to na tym, że od gospodarzy mających drzewa owocowe dzierżawił sady. Następnie organizował zdejmowanie i sprzedaż owoców. Z czasem na części swojego gospodarstwa też posadził drzewa owocowe. Rolnictwo było wtedy samowystarczalne. Np. do ogrzewania izb i przyrządzania posiłków wykorzystywano surowiec miejscowy występujący tutaj w nadmiarze to jest drewno i torf, który był właściwie głównym źródłem opału. Aby go wydobyć trzeba było najpierw z łąki zdjąć wierzchnią warstwę murawy a następnie specjalnym nożem o długości 150 cm wyciąć bryły o rozmiarach ~ 80 x 60 x 20 cm, które po wydobyciu układano na trawie i cięto w małe kostki. Po lekkim wyschnięciu układano je w koziołki celem ostatecznego wysuszenia.

Mimo starań ojca nie widząc swojej przyszłości na wsi wyjechałem do Piotrkowa Tryb. gdzie zdobyłem w zawodzie krawieckim uprawnienia czeladnicze. Oczywiście odwiedzałem w tym czasie rodzinę. Z Piotrkowa do Bęczkowic było ok. 30 km. Drogę tą można było pokonać na dwa sposoby. Albo z Piotrkowa do Gorzkowic pociągiem i dalej 10 km pieszo, albo całą 30 kilometrową trasę pieszo. Bilet był w tym czasie bardzo drogi, kosztował złotówkę. Dla zobrazowania wartości złotówki przypomnę, że dniówka kosiarza na wsi, który harował od 7 rano do zachodu słońca wynosiła właśnie 1 złotówkę. Dlatego też ze względów oszczędnościowych ten odcinek drogi niejednokrotnie pokonywałem pieszo. Chcąc dalej rozwijać swoje umiejętności przeniósłem się do Łodzi gdzie w latach 1935 - 1936 pracowałem w zakładzie krawieckim na ulicy Orla 15 gdzie było trzech czeladników. Sprawy bytowe załatwialiśmy we własnym zakresie. Zanim znalazłem kwatery mieszkałem u swojego majstra śpiąc na stole krawieckim. W Łodzi rzucała się wtedy wyraźnie w oczy wielokulturowość. Szczególnie ciężką walkę o przetrwanie musiały toczyć małe polskie sklepiki i zakłady rzemieślnicze.

W 1937 r., będąc w wieku poborowym, zgłosiłem się do wojska. Miałem wtedy możliwość wyboru rodzaju broni i wybrałem piechotę. Ze względu na mój wysoki wzrost było niemal pewne, że dostanę się do kawalerii a ja wręcz nie znosiłem koni. Na Komisji Wojskowej w Piotrkowie Tryb. dostałem przydział do Poznania, gdzie w 1939 r. odbywałem służbę wojskową w 7 Batalionie Telegraficznym 14 Dywizji z siedzibą w Cytadeli.

20 września miałem już wyjść do cywila. Tymczasem w przeddzień wojny z 31 sierpnia na 1 września moją kompanię załadowano na pociąg i wyjechaliśmy w nieznanym kierunku. O świcie byliśmy już w Kutnie. Widok, który tu zastaliśmy po nalocie samolotów niemieckich był potworny. Rozbity pociąg, wokoło pełno trupów. Jak dziś pamiętam obraz zabitej młodej kobiety i leżące na niej małe dziecko szukające piersi. Następnie przez Łódź dojechaliśmy do Jarosławia. Tu zakwaterowano nas w opuszczonych koszarach wojskowych. Wszędzie panował bałagan i improwizacja. Jarosław był w tym czasie bombardowany. Po kilku dniach zostaliśmy przekwaterowani do Leżajska. Ponieważ po bombardowaniu nie było łączności z Jarosławiem moja drużyna dostała rozkaz założenia

linii polowej. Do celu dotarliśmy wieczorem. Nad nami latały samoloty niemieckie rozrzucające choinki oświetleniowe. W mieście widoczne było duże rozprężenie. Ludność cywilna rabowała co się dało. Widziałem niosących słoninę, kielbasę itp. Widząc nas, niektórzy nie ukrywali zdziwienia: "co wy tu robicie, tam już są Niemcy". Wobec tego po nawiązaniu łączności ze swoją kompanią w Leżajsku i zameldowaniu o sytuacji otrzymaliśmy rozkaz powrotu. Po dotarciu do miejsca zakwaterowania okazało się, że tu już niestety nikogo nie ma. Po mojej kompani nie było ani śladu. A spotkani żołnierze i oficerowie pochodzili z innych jednostek. Nie wiedząc co dalej robić ruszyliśmy z kolegami z drużyny w kierunku Przemyśla podążając za wozami, które jechały w kierunku wschodnim. W ten sposób dotarliśmy do Żółkwi, gdzie zrobiono zbiórkę wszystkich żołnierzy jacy się tam znaleźli. Po prawej stronie ustawiono tych, którzy posiadali broń a po lewej tych bez broni. Z żołnierzy uzbrojonych utworzono batalion o nazwie "Batalion Żółkiew". Dowodził nim kapitan Kuligowski - prawdopodobnie oficer rezerwy. I w taki oto sposób wyruszyliśmy na front. Mijaliśmy różne miejscowości. Aby przyspieszyć marsz kazano nam pozbyć się rzeczy zbędnych i zostawić tylko broń, amunicję i manierki. Mówiono, że idziemy udzielić pomocy naszemu oddziałowi walczącemu bardziej na wschód. Przeprowadzając się przez rzekę wpływ odnosiło się wrażenie, że pada deszcz a to był grad pocisków uderzających o wodę. Słychać było walkę, strzelaninę, a my szliśmy dalej. Kiedy na odległość strzału widać było przebiegających Niemców przełożony wydał rozkaz otwarcia ognia. Dowódca mojej drużyny kapral rezerwy z Wilna biegnąc z przewieszonymi cywilnymi butami przez ramię krzyczał: "panoczki - naprzód, naprzód". Biegł obok mnie. W pewnej chwili patrzę a mój kapral leży. Nawet nie zdążył krzyknąć. I tak leżał z tymi swoimi pantoflami na ramieniu. W czasie ataku widziałem też dowódcę batalionu kapitana Kuligowskiego biegnącego z karabinem w rękę. Krzyczał: "chłopcy na przód". W pewnym momencie krzyknął: "Jezus Maria" i wyrzucając obie ręce w górę padł, a z ust buchnęła mu krew. Walka trwała trzy dni. Jednego wieczoru Niemcy położyli tak silny ogień zaporowy, że w żaden sposób nie można było do nich podejść. Wtedy łącznik podał naszej artylerii współrzędne wroga i rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Ponad naszymi głowami słyszałem świst lecących pocisków, które rozrywały się po stronie nieprzyjaciela. Następnie ruszyliśmy ponownie do natarcia. Teren był trudny - odkryty - a Niemcy mimo pokrycia ich artyleryjską nawałą ogniową dalej się ostrzeliwali. W pewnym momencie z okrzykiem: "huraaa" ruszyliśmy do ataku na bagnety. Wtem zrobiło się bardzo cicho. Patrzę a większości moich kolegów już nie ma - zginęli. Jedyne co mi przyszło wtedy do głowy to jak najszybciej rzucić się do ucieczki w kierunku rosnącego w pobliżu łąbinu gdzie widziałem jedyną szansę na ukrycie się przed ogniem wroga. Po otrzymaniu posiłków zaszliśmy Niemców od tyłu i ponownie ruszyliśmy do ataku na bagnety. W rezultacie w krótkim czasie zostali zmuszeni do odwrotu. Jedni uciekali a inni próbowali jeszcze walczyć. W czasie tego ataku w pewnym momencie poczułem przeszywający ból w prawym przedramieniu, po czym karabin wypadł mi z ręki. Pocisk przeszedł na wylot na szczęście nie naruszając kości. Zaraz zrobiłem so-

bie opatrunkiem, ale jak się później okazało tylko na otworze wlotowym. Dlatego też w krótkim czasie byłem cały zakrwawiony. Po bitwie wszystkich rannych przywieziono do Dublan do szpitala polowego, który był ulokowany w budynku szkoły rolniczej. Ze względu na kłopoty z aprowizacją byliśmy bardzo głodni. Aby oszukać głód podkładaliśmy pod pas maski przeciwgazowe. Ponieważ zbliżali się Niemcy ze szpitala ewakuowano lekarzy. Będąc lżej ranny razem z dwoma kolegami również opuściliśmy szpital udając się w kierunku Lwowa. Po drodze ostrzeliwali nas z ukrycia Ukraińcy. W tej sytuacji zarekwirowaliśmy wózek konny, który nas zawiózł do szpitala we Lwowie na Łyczakowie.

Wśród żołnierzy krążyła plotka, że podobno w nocy był w tym szpitalu Anders. W każdym razie ja go nie widziałem. Wokół Lwowa byli Niemcy i Rosjanie. Jednego dnia przyjechali do Lwowa Rosjanie z białą flagą. Niemcy przestali wtedy strzelać. Mieliśmy nadzieję, że Rosjanie nam pomogą. Niestety pod wieczór odjechali w kierunku niemieckich pozycji. Następnego dnia rano usłyszeliśmy, że Lwów się poddaje i wchodzi bolszewicy. Sytuacja bardzo się skomplikowała. Nie wiedzieliśmy co dalej robić. Żołnierze zaczęli się różnie zachowywać. Jedni niszczyli broń tłukąc ją i łamiąc. Inni wrzucali karabiny do kanałów. Krążyła plotka, że jeden z oficerów w akcie rozpaczy popełnił samobójstwo.

Oficerowie w obawie przed represjami ze strony bolszewików aby nie mieć zbyt gładkich dłoni zaczęli je specjalnie niszczyć piachem chcąc upodobnić się do pracowników fizycznych. Po wejściu do szpitala Rosjanie zabrali wszystko co było do jedzenia. Zostawili tylko to co było w kotłach. W rezultacie nie było co jeść. Po upływie tygodnia od wejścia bolszewików wydano zarządzenie, że wszyscy będą musieli się meldować. Nie wiedząc co może nas spotkać zebrałem kilku kolegów i powiedziałem - "kto ucieka niech idzie ze mną". Jeszcze przed ucieczką pod murem cmentarza na Łuczakowie zakopałem swój pistolet marki Vis. Uciekając ze Lwowa dotarliśmy do Krasnegostawu gdzie podobno Niemcy wydawali przepustki. Kiedy staliśmy w kolejce doszedł do nas nieznajomy cywil i zwrócił uwagę na to, czy ktoś z nas widział aby ci co weszli po przepustkę wyszli z powrotem. Rzeczywiście - nikt nie wychodził. Nie zastanawiając się długo szybko opuściliśmy kolejkę. Ponieważ Niemcy wyłapywali żołnierzy w mundurach postanowiliśmy się przebrać w ubrania cywilne. Nie mając w ogóle pieniędzy weszliśmy do pobliskiego sklepu licząc na zrozumienie naszej trudnej sytuacji: "a pieniądze u was są? Nie ma? - oj to nie będzie ubrań" - rzekł sprzedawca, który nie był Polakiem. Dopiero od nieznajomej kobiety udało mi się otrzymać garnitur, który należał do jej syna. Był co prawda za krótki i za ciasny ale dużo bezpieczniejszy od munduru. I tak przebrany za cywila dotarłem do Łodzi. W tym czasie Niemcy wyławiali z polskich zakładów co lepszych fachowców i zatrudniali u siebie. Mnie przydzielono do zakładu krawieckiego mieszczącego się przy Holzwesser str. 3 (obecna Nawrot), którego właścicielem był Grunwald. Kiedy zabrano go na wojnę zakład przejęła jego żona. Byłem tu do 1942 r. Zdając sobie sprawę z konsekwencji pracowałem również na własną rękę. To właśnie wtedy przyjąłem od Polki zamówienie na garsonkę do ślubu. Trzeba trafiać równocześnie Niemka poleciła mi uszyć płaszcz dla Hermans - właścicielki piekarni

na której jej bardzo zależało. Nie zastanawiając się dłużej załatwiłem sobie zwolnienie lekarskie o czym ją poinformowałem. Wtedy powiedziała mi, że najpierw bezwzględnie muszę wykonać jej polecenie, a potem mogę chorować ile będę chciał. Aby zdążyć z uszyciem garsonki do ślubu do pracy nie poszedłem. Szeffowa zawiadomiła o tym żandarmerię niemiecką. Będąc na zwolnieniu poszedłem jeszcze do urzędu po kartki żywnościowe, które o czym nie wiedziałem już mi się nie należały. Na szczęście dla mnie w urzędzie nie wiedzieli jeszcze, że jestem zwolniony. A wychodząc z urzędu minąłem się w drzwiach z dwoma niemieckimi żandarmami, którzy jak się później dowiedziałem przyszlizli w mojej sprawie. Jeden ze znajomych ostrzegł mnie, że już jestem spalony i że bym jak najszybciej uciekał z Łodzi bo mogę być w każdej chwili aresztowany. W tej sytuacji zostawiłem wszystko i tak jak stałem wsiadłem do tramwaju jadącego do Tuszyńska. Stąd idąc dalej pieszo przekroczyłem pod Sroczkiem granicę z Generalną Gubernią i dotarłem do Bęczkowic, gdzie zacząłem pracować w swoim zawodzie. Około 1943 r. wstąpiłem do Armii Krajowej. Zresztą na tym terenie (Ręczno, Łęki Szlacheckie, Ogrodzona, Trzempnica, Bęczkowice, Podstole) większość młodych mężczyzn należała do partyzantki. 15 sierpnia 1943 roku wieś Bęczkowice została spacyfikowana. Wielu młodych partyzantów zadenuncjowanych przez niemieckiego agenta B. zatrzymano i wywieziono do obozu koncentracyjnego. Agent ten w niedługim czasie został zatrzymany w lesie pod Łękami Szlacheckimi i zlikwidowany gdy ponownie szedł w kierunku posterunku żandarmerii niemieckiej prawdopodobnie z nową listą partyzantów. Nawet kiedy kopał dół broniąc się próbował jeszcze zaatakować szpadlem ludzi z grupy likwidacyjnej. W 2003 r. jako najstarszy mieszkaniec Bęczkowic w otoczeniu zaproszonych gości m.in. Karlińskiego ps. "Burza" wziąłem udział w uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej poświęconej tamtym wydarzeniom. Mimo, że większość należała do podziemia to wzajemnie się nie znaliśmy. Obowiązywała zasada, że każdy znał tylko wprowadzającego. Przysięgę składałem u starszego stopniem mieszkańca Bęczkowic Wacława Dędką. Przyjąłem pseudonim "Burza 2" ze względu na bujne kręcone włosy. Należałem do formacji zapasowej. Przed wrześniem 1944 r. brałem udział w zabezpieczeniu rzutu jaki miał miejsce między Łękami Szlacheckimi a Ręcznem. Byłem dowódcą podwód przygotowanych do przewożenia zrzuconych ładunków. Po usłyszeniu warkotu samolotu zapaliliśmy światła ustawione w długi szpaler. Niestety tylko jeden samolot dokonał rzutu. Pozostałe nie dotarły do celu. Długie beczki, które wylądowały na spadochronach po załadowaniu na wozy zawieźliśmy do oddziału Karlińskiego ps. "Burza", który był na tym terenie dowódcą. W tym czasie poznałem swoją przyszłą żonę o dziesięć lat młodszą 17-letnią Franciszkę Krupa. 4 września 1944 r. wzięliśmy ślub w tutejszym kościele w Bęczkowicach. W tym czasie przybyło do wsi wiele osób po powstaniu warszawskim. Sołtys decydował o ich rozmieszczeniu w poszczególnych gospodarstwach. Np. u E. Famulskiego zakwaterowano aktorkę a u mojego teścia krawca. Wyżej wymienieni po zakończeniu wojny wyjechali z Bęczkowic w nieznanym kierunku. Prowadząc w czasie wojny zakład krawiecki miałem kontakt z wieloma osobami. Z cywilami, partyzantami

i Niemcami. m.in. szyli u mnie partyzanci AK o pseudonimach: "Wilk", "Wicher", "Żbik" z NSZ itd. Pewnego razu szyjąc mundur zastępcy dowódcy AK ps. "Wicher" przyszedł do mnie Niemiec, który w sąsiedniej wsi miał gospodarstwo rolne. "Wicher" schował się w izbie obok. Zapytałem się wtedy Niemca czy nie boi się partyzantów. Odpowiedział, że nie i pokazał mi pistolet. "Wicher", który to słyszał wraz z kolegą złożyli Niemcowi następnej nocy wizytę i zarekwierowali cały wypiek chleba mówiąc, że to dla oddziału, który czeka na zewnątrz. Niemiec będąc u mnie ponownie "pochwalił się", że był u niego w nocy duży oddział partyzantów bo zabrali mu wszystek świeżo upieczony chleb.

Mimo okupacji zorganizowaliśmy wesele na 60 osób. Masarz przygotował wędliny a inny ze znajomych bimber. Wesele odbywało się w dwóch miejscach. U teścia była konsumpcja a u sąsiada Cygory zabawa. Do tańca przygrywał najlepszy w okolicy zespół Kocinka składający się ze skrzypiec, bębna, harmonii i trąbki. Zabawa trwała całą noc i nic nie zapowiadało emocji, jakie miały za chwilę nastąpić. W godzinach rannych zrobił się popłoch kiedy poinformowano mnie, że do zabudowań teścia nadjeżdżają bryczką Niemcy. Bojąc się aresztowania uciekłem z żoną z miejsca zabawy i ukryłem się obok zabudowań teścia patrząc przez płot co będzie dalej. Niestety wszystkiego bym się spodziewał ale nie takiego obrotu sprawy. Otóż okazało się, że to byli koledzy partyzanci przebrani w mundury niemieckie. Nie muszę dodawać, że dopiero teraz zabawa ponownie się rozkręciła.

W tym czasie bardzo uciążliwe dla miejscowych były obowiązkowe dostawy. Niemcy niejednokrotnie zabierali wszystko to jest inwentarz kartofle, zboże itd. Zabierali mieszkańców tej wsi do kopania okopów. m.in. na krótko ale zabrali też moją żonę. Pod koniec wojny przez ten teren przeszli tym razem Rosjanie. Wyglądali wręcz rozpaczliwie. Niektórzy szli w trepach powiązanych sznurkami, jeszcze inni mieli karabiny na sznurku. Ponadto byli tak bardzo głodni, że potrafili zjeść "żarcie" przygotowane dla inwentarza. To jest kartofle tłuczone z plewami. Pytali się tylko jak daleko do Berlina. Żołnierze zachowywali się różnie, jednak w sytuacjach krytycznych dowódcy potrafili ich okiełznać. W pobliskiej Trzpcnicy znajdował się majątek dziedzica Bolechowskiego, którego żona była znaną śpiewaczką. Rosjanie zaczęli go szukać. Jak mówili szukają "pomieszczenia". Jednak Bolechowskim udało się w porę uciec. Po przejściu Rosjan dwór został splądrowany i przez długi czas stał pusty. Potem zamieniono go na szkołę, a z majątku utworzono Państwowe Gospodarstwo Rolne.

Zaraz po wojnie po wyjściu Niemców sytuacja na wsi dla ludzi z inicjatywą była bardzo dobra. Trwało to jednak bardzo krótko. Powstawały zakłady rzemieślnicze, które zatrudniały uczniów. Ludzie zaczęli mieć pieniądze. Rozwój widać było gołym okiem. Jednak niestety zaczęło się powolne "dobijanie" inicjatywy. Dużym obciążeniem były składki na fundusz odbudowy stolicy (FOS). Najwięcej od hektara płaciły gospodarstwa tzw. kułackie, małe gospodarstwa miały dużo mniejsze obciążenia finansowe. I tak zaczęły się rządy nowej władzy ludowej. Sekretarzem gminy czyli najważniejszą osobą na tym terenie miano syna trepiarza - szewca, który robił buty z drewnianymi spodami. Wystar-

czającymi kwalifikacjami była umiejętność czytania i pisania. Właśnie tacy ludzie zaczęli obejmować stanowiska. Natomiast tych co posiadali powyżej 10 ha ziemi zaliczano do klasy "kułaków". Wiązało się to z bardzo uciążliwymi represjami ekonomicznymi między innymi z progresją podatkową. Pomijając obowiązkowe dostawy kułacy w porównaniu z innymi rolnikami mieli dużo większe opłaty. Jak ktoś zapłacił jeden podatek to zaraz nakładano mu następny. Chciano wtedy w ten sposób zmusić ludzi do zakładania spółdzielni produkcyjnych. Jak dowiedziałem się w latach 70 - tych od prof. Piaścika z Politechniki Warszawskiej w Warszawie pracował specjalny zespół, który zajmował się opracowywaniem wyglądu architektonicznego wsi po kolektywizacji. m.in. wszystkie budynki mieszkalne miały być trzypiętrowe. Podobno prace te były mocno zaawansowane. Małe gospodarstwa miały ulgi, umorzenia, a ich właściciele wszystko mogli załatwić bez problemu.

Kiedy teść dostał kolejny domiar zdesperowany udałem się do gminy aby to wyjaśnić. Doszło do bardzo ostrej wymiany zdań. Nie wiem jaki odruch to spowodował ale gwałtownym ruchem włożyłem rękę do prawej kieszeni spodni. Wtedy urzędnik, który dość obcesowo i pogardliwie mnie traktował wystraszył się i powiedział "proszę pana ale ja mam dzieci". Na co odpowiedziałem, że ja też mam dzieci, które muszę nakarmić. W rezultacie sprawę załatwiłem pozytywnie, a urzędnik prawdopodobnie wystraszył się i pomyślał, że sięgałem po pistolet.

Jak byli traktowani kułacy najlepiej niech to zobrazuje odbiór przydziału na węgiel, który odbywał się na stacji kolejowej w Gorzkowicach. Razem z gospodarzami ze swojej gminy do Gorzkowic przyjechał sekretarz P. Z Bęczkowic do Gorzkowic jest 10 km. Aby zająć dobre miejsce w kolejce teść musiał wyjechać z domu wozem zaraz po północy. Kiedy wyczekawszy się w kolejce podjechał wreszcie pod wagon sekretarz krzyknął: "kułaki won na koniec kolejki". Teść który stracił tyle czasu aby dostać się do wagonu musiał ponownie stanąć w kolejce. Mimo poniżania nie odzywał się bo był bez szans i nie miał innego wyjścia. Bardzo dokuczliwe były też obowiązkowe dostawy. Nawet aby zabić świnię na własny użytek trzeba było mieć stosowne zezwolenie. W tym czasie zabronione było słuchanie Radia Wolna Europa. Jednak mimo zagłuszania słuchaliśmy nadawanych audycji po kryjomu i w gronie zaufanych osób. W wyniku nadawanych audycji wierzyliśmy, że wkrótce wrócą Amerykanie i wyzwolą nas spod dominacji sowieckiej. Ktoś mnie jednak zadenuncjował - ale uprzedzony o tym zdążyłem sprzedać radio Telefunken przed przybyciem funkcjonariuszy urzędu bezpieczeństwa, podobna sytuacja była z dubeltówką, którą też musiałem wcześniej sprzedać aby mi jej nie zabrano. Gospodarka była wtedy niewydolna. Dlatego też osoby, które prowadziły jakąkolwiek działalność i to z powodzeniem uważane były przez współczesne władze za kombinatorów i oszustów. W 1952 r. mój dobry znajomy lekarz dentysta Henzel z Piotrkowa Tryb. u którego leczyłem zęby poinformował mnie, że miałem być aresztowany ale dzięki jego znajomościom i wstawiennictwu funkcjonariusze UB odstąpili od tego zamiaru.

Lata 50 - te i 60 - te były bardzo ciężkie dla indywidualnych gospodarstw rolnych. Ponieważ ci co posiadali do 5 ha nie byli represjonowani dokonaliśmy z

teściem fikcyjnego podziału gospodarstwa na dwie części. Na przykład w domu były dwie kuchnie. Jak zbliżał się ktoś obcy to teściowie zostawali w jednej, a my z żoną udawaliśmy się do drugiej. Dzisiaj trudno w to uwierzyć ale nawet obora, w której znajdowały się zwierzęta przedzielona była deskami na dwie części. Jednak na dłuższą metę tej fikcji nie udało się utrzymać i po roku wszystko wróciło do "normy". Patrząc z perspektywy 90. lat uważam czasy stalinowskie za najbardziej mroczny okres w moim życiu. Dochody z prowadzonego zakładu krawieckiego prawie w całości przeznaczałem na pokrywanie zobowiązań finansowych w gospodarstwie rolnym. Chcąc zabezpieczyć rodzinę przed ewentualnymi następstwami takiej polityki rolnej państwa kupiłem w Piotrkowie Tryb. część domu gdzie przeprowadziła się żona razem z dziećmi. Mimo olbrzymich trudnień dążyłem jednak do przekształcenia gospodarstwa rolnego w specjalistyczne gospodarstwo sadownicze. Aby zdobyć na to przedsięwzięcie potrzebne środki finansowe założyłem na dużą skalę plantację truskawek. W sezonie zatrudniałem nawet ponad sto osób dziennie. Kiedy produkcja truskawek stała się mało opłacalna przerzuciłem się na szkółkarstwo. Ponieważ nadal brakowało mi środków na inwestycje w pewnym momencie postawiłem wszystko na jedną kartę i zaciągnąłem bardzo duży kredyt. Wtedy otrzymałem z banku pismo, że wysokość kredytu przekroczyła wartość całego majątku. Jednak kredyt udało mi się spłacić i w ten sposób stworzyłem sad nowoczesny i na wysokim poziomie.

W powiecie piotrkowskim byłem też jednym z pionierów hodowli brojlerów. Zaczynałem od małych ilości, które hodowane były początkowo nawet w części pomieszczeń mieszkalnych. Hodowla była dochodowa i rozwijała się. Wkrótce potrzebowałem nowych powierzchni i pomieszczenia gospodarcze przebudowałem na kurnik. Niestety hamulcem rozwoju hodowli była wtedy progresja podatkowa dla tych co mieli powyżej 5 tys. sztuk w jednym rzucie. Tak było przynajmniej na terenie powiatu piotrkowskiego. Myśląc jednak perspektywnie uważałem, że przepisy te na dłuższą metę się nie utrzymają. Mając to na uwadze ponownie zaryzykowałem i zacząłem budowę nowego dużego kurnika na 16 tys. sztuk brojlerów w jednym rzucie (w ciągu roku były 4 rzuty). Kurnik musiał spełniać określone sterylne warunki sanitarne. Na początku chowu pisklaki miały wręcz tropikalne warunki, temperatura oscylowała w granicach 30° C. Pomocy weterynaryjnej udzielali lekarze z Gorzkowic, Piotrkowa Tryb., a w poważniejszych przypadkach brojlery były badane w Instytucie Weterynarii w Puławach gdzie doskonali fachowcy jacy tam pracowali potrafili udzielić pomocy nawet w sytuacjach kryzysowych, a takie rzadko ale się zdarzały.

Wspomnę tutaj, że starsze kurczęta bardzo bały się ciemności, burzy, a także błyskawic ponieważ chów odbywał się przy całodobowym oświetleniu. W razie zgaśnięcia światła dochodziło do paniki co przy 16 tys. sztuk było dużym problemem. Trzeba było wtedy jak najszybciej wkroczyć i zdecydowanie rozprasać grupujące się stada aby nie dopuścić do padnięć przez uduszenie. Wystarczył tylko moment. Bowiem w razie zgaśnięcia światła włączało się zasilanie awaryjne. Po zakończeniu tuczu brojlery były zabierane do ubojni specjalnie przystosowanymi samochodami z drucianymi klatkami. W dużym samochodzie

mieściło się nawet do 2 tys. sztuk do 10 sztuk w klatce. Załadunek odbywał się w nocy. Wtedy można było je łatwo łapać ponieważ nie uciekały. Problem był natomiast z uczciwością kierowców. Prawie w każdym samochodzie musiał oprócz kierowcy jechać specjalnie opłacony zaufany pracownik. Inaczej kierowca potrafił zjechać z trasy gdzie już czekali na niego wcześniej umówieni wspólnicy i w ciągu kilkunastu minut potrafili wyjąć z samochodu do 100 sztuk co przy ilości 2 tys. nie było widoczne ale odczuwalne było przy ogólnej ilości. Były też momenty o ile je można nazwać humorystyczne. Jednemu ze znajomych hodowców na zakręcie pod Mierzynem koło Piotrkowa Tryb. przewrócił się samochód, część klatek się otworzyła i właściciel, który w tym czasie jechał z kierowcą ganiał kury po polu, a przejeżdżający obok kierowcy samochodów zamiast udzielić pomocy mieli z tego niezłą zabawę. Po rozebranych starym piętrowym kurniku zostało tyle materiału i gruzu, że starczyło go na budowę domku letniskowego, fundamentów pod nowy kurnik oraz na utwardzenie dużego odcinka drogi publicznej. Kiedy skończyłem budowę był rok 1970. Do władzy doszedł Edward Gierek i zaczął się moim zdaniem najlepszy okres dla rolnictwa w powojennej historii Polski. W jednym z przemówień Gierek powiedział: "Możecie flancować nawet złoto, a to co zbierzecie będzie wasze". Hodowlę prowadziłem na bardzo wysokim poziomie dzięki współpracy z prof. E. Potemkowską dyrektorką Instytutu Hodowli Zwierząt i Technologii Produkcji Zwierzęcej SGGW Akademii Rolniczej w Warszawie. Od wyżej wymienionej otrzymałem dyplom uznania za ową pracę.

Chciałbym tu przy okazji zwrócić uwagę na jeden element obecnie obcy w życiu gospodarczym a jakże sprzyjający dobrym stosunkom międzyludzkim. Otóż między hodowcami nie było żadnej konkurencji. Często się spotykaliśmy towarzysko oraz celem wymiany doświadczeń. Zakład Drobiarski organizował nam wycieczki, na których zapoznawaliśmy się z najnowszymi osiągnięciami w tej dziedzinie w kraju i za granicą. Oczywiście każdy przenoślił te nowoczesne rozwiązania na swój grunt. Również sadownictwo prowadziłem na bardzo wysokim poziomie, które było moim pierwszoplanowym przedsięwzięciem oraz moim hobby. Większość życia spędziłem w sadzie formując i prześwietlając drzewka. I w tym zakresie utrzymywałem ścisły związek z naukowcami z Instytutu Sadownictwa w Skierniewicach. Dzięki temu miałem zawsze najnowsze odmiany jabłoni. Wiodące odmiany to: Jonathan, Bancroft, Spartan, Melrose, Starking, Mc Intosh, itd. Szczególnie smacznym i pięknie wyglądającym jabłkiem była Fantazja. Wręcz rozpyływała się w ustach. Niestety było to jabłko bardzo delikatne i podatne na uszkodzenia mechaniczne. Z tego też względu nie nadawało się do produkcji przemysłowej.

Profesor Pieniążek na jednym z często organizowanych zjazdów sadowników z całej Polski w Skierniewicach powiedział, że jego marzeniem jest aby kilogram jabłek w Polsce kosztował tyle co kilogram chleba. Powoli ale systematycznie gospodarstwo rolne przekształciłem w specjalistyczne gospodarstwo sadowniczo - hodowlane. Wybudowałem wtedy prototypową i bardzo nowoczesną jak na owe czasy - a były to lata 70-te przechowalnię owoców zaprojektowaną

przez prof. Piaścika z Politechniki Warszawskiej. Zresztą wzmianka i zdjęcie tej przechowalni znajduje się w jednej z publikacji wydanych przez Instytut Sadownictwa. Jedynym jej mankamentem był sposób załadunku komór. Otóż 200 ton jabłek w skrzynkach tzw. "jedynkach" o wadze 25 kg lub "uniwersalnych" o wadze 15 kg trzeba było załadować i później rozładować ręcznie do sortowania i wysyłki. Skrzynki były układane przy pomocy taśmociągu złożonego z ludzkich rąk. Praca była ciężka ale obie strony były usatysfakcjonowane. Właściciel z wykonanego zadania a pracownicy z tego, że mieli dobrze opłacaną pracę. Przy ówczesnym nadmiarze rąk do pracy nikt nie robił z tego problemu. Obecnie a mówię tu o końcu lat 90 - tych sytuacja uległa radykalnej zmianie i poprawie. W pewnym stopniu zostało to wymuszone sytuacją na rynku pracy. Teraz jest chłodnia z kontrolowaną atmosferą a jabłka składowane w paletach o wadze 300 kg. Wystarczy jeden pracownik aby przy pomocy wózka widłowego wysokiego podnoszenia załadować czy też rozładować chłodnię o pojemności 400 ton. Produkcja sadownicza była w tym czasie opłacalną dziedziną gospodarki. Jednak jak podkreślałem to mojemu następcy była to fabryka na wolnym powietrzu. Wyniki produkcji zależały w dużym stopniu od warunków atmosferycznych. Mróz, grad lub oprysk nie wykonany w terminie mógł zniweczyć całoroczną pracę i cały nakład finansowy.

W latach 80. XX w. gospodarstwo przepisałem na syna Stanisława, który po ukończeniu Politechniki Łódzkiej postanowił kontynuować moje dzieło. Mając stworzone przeze mnie mocne podwaliny oprócz powiększania i unowocześniania produkcji sadowniczej uruchomił Przedsiębiorstwo - Rolno - Przemysłowo - Handlowe "Kandy".

Zdaję sobie sprawę, że w pewnych przedstawionych przeze mnie faktach może brakować ciągłości, inne mogłem pominąć, powtórzyć się albo też przedstawić. Ale kładę to na karb swoich ...10 lat. A propos wieku. Dla mnie najlepsza sytuacja była gdy ktoś pytał mnie o wiek po 80-tce. Wtedy mając 82 czy też 85 odpowiadałem, że mam 28 lub 58. Teraz chwilowo jest to niemożliwe. Mam jednak nadzieję, że opatrność pozwoli mi jeszcze odpowiadać na podobne pytania po 90-tce. Zastanawiając się nad sensem swojego dotychczasowego życia mogę powiedzieć, że mam satysfakcję ze swoich dokonań. Oczywiście jest to fantazja, ale poza kilkoma wyjątkami to życie swoje chciałbym przeżyć ponownie jeszcze raz i tak samo.